

A woman in a red strapless dress is shown from the back, her hair in a bun. The background is a light, textured grey. Large letters 'I W A' are at the top, with 'I' and 'W' in dark red and 'A' in bright red. A dense cloud of smaller letters in various fonts and colors (red, dark red, black) floats in the center-right. The author's name 'Krzysztof Swoboda' is at the bottom in dark red.

I W A

Krzysztof Swoboda

Krzysztof Swoboda

IWA

© Copyright by Krzysztof Swoboda & e-bookowo

Korekta: Patrycja Żurek

Grafika na okładce: shutterstock

Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-410-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2014

Siedział w towarzystwie dwójki kolegów, obgryzając nerwowo paznokcie. Dość wysoki, odrastający od ziemi na niecałe 180 centymetrów chudzielec ze standardową, nie wyróżniającą się z tłumu fryzurą, zachodzącą w ciemny blond. Obserwował przeszklony gabinet redaktora naczelnego. Szef zazwyczaj stawał po stronie pracowników i wręcz emanował otwartością, jaka tutaj symbolicznie przekuwała się na zawsze odsłonięte żaluzje biurowe i lekko uchylone drzwi, zza których często dało się słyszeć konkretne, rockowe kawałki napisane i wyśpiewane przez gwiazdy lat 80. Dzisiejszego dnia, za sprawą trójki smutnych panów w drogich, czarnych garniturach, legitymujących się siejącymi popłoch legitymacjami, na widok których nawet największe wygi z policyjnej drogówki spuszczały wzrok i potulnie wracają do niebieskiego pojazdu, drzwi zostały zamknięte, a żaluzje opuszczono. Wtedy też ostatni raz widział skwaszoną minę przełożonego, poczciwego tłuścioszka pod krawatem, mającego jakiś bliżej niezidentyfikowany pociąg do szelek, które od kilku dobrych lat, towarzyszyły „rednaczowi” każdego dnia.

Ledwie dwa razy drzwi gabinetu otworzyły się, raz, gdy próg przekroczyła sympatyczna sekretarka, niosąca na plastikowej tacy cztery, świeżo zaparzone kawy. Po raz drugi, kilka sekund później, gdy zamknęła je za nią wielka, wymuskana dłoń, otulona czarną, sprawiającą wrażenie drogiej, tkaniną.

Mimo że sprawa mogła wyglądać na zagadkową, to jednak solidni dziennikarze śledczy, a takich w budynku włącznie z Sikorskim znajdowało się w tym momencie kilkoro, wiedzieli o co chodzi. Po prawdzie wszyscy, od wiecznie niezadowolonego ze swojej sytuacji działu sportowego, przez blogerów po dziennikarzy terenowych i fotoreportera wiedzieli, że smutni panowie pojawili się w związku z Aferą Binińskiego: rozdmuchaną przez Darka sprawą, wedle której w jednym ze strategicznych ministerstw w kancelarii premiera wielokrotnie miano dopuszczać się nadużyć finansowych i przyjmowania łapówek.

Niestety, mimo udanej prowokacji dziennikarskiej, podczas której wręczono ważnej, ministerialnej figurze pokaźny plik banknotów, ktoś zdołał w odpowiednim momencie pociągnąć za sznurki i zaalarmować wyżej postawionych przełożonych. Przy wyjściu z eleganckiego budynku zaczepili go, niby przypadkowo, uprzejmie prosząc, aby poddał się krótkiemu przeszukaniu. Nie usłyszał podstawy prawnej, bowiem wprawny, ledwie co widoczny dla postronnych cios w splot słoneczny sprawił, że zgął się w pół. Czyjaś ręka przytrzymała wątłego mężczyznę. Z daleka wcale nie wyglądało na to, że dwaj umięśnieni, krótko ścięci faceci w ciemnych okularach trzymają go teraz z całej siły za wątłe ramiona, usiłując zadać jak największy ból.

Zniknął w niedużej, ulokowanej przy głównym wejściu wnęce, prowadzącej wprost do kanciapy szefa ochrony. Tam też po raz ostatni widział dyktafon i niedużą kamerę szpiegowską, jaką za pieniądze wydawnictwa nabył dla Dariusza Sikorskiego główny przełożony. Spędził w zaciemnionym po-

mieszczeniu kilka godzin, odpowiadając na dziesiątki pytań. Pytali o wyjazdy zagraniczne, o zmarłego ojca i jego pracę, przeglądali kontakty w telefonie, aby po dłuższym czasie, po nitce do kłębka dokopać się studiów i kariery zawodowej. Wypuścili go, zdezorientowanego, późnym popołudniem. Od razu pojechał do biura, jednak na pasach, oddzielających go od wejścia do budynku, zaparkowany pojazd mrugnął długimi światłami kilka razy stronę. Gdy zza przyciemnianej, opuszczającej się szyby wyłoniła się dobrze znana, wyprana z emocji twarz, przezornie zawrócił i cały czas czując na sobie wzrok udał się do domu, aby późną nocą zasnąć.

Teraz, ledwie kilkanaście godzin po tej cholernej wpadce z uwagą obserwował, jak po blisko godzinnej rozmowie drzwi gabinetu naczelnego otwierają się. Trójka postawnych mężczyzn szybko opuściła budynek. Zza otwartych drzwi wyłoniła się głowa szefa. Przez moment ich spojrzenia spotkały się. Skinięciem zaprosił go do siebie. Spojrzał po kolegach, którzy uśmiechali się tępo w jego stronę, usiłując przekonać Darka i siebie samych, że wszystko będzie w porządku. Powoli wstał i ruszył na spotkanie przeznaczenia.

– Jestem.

– Widzę. Zamknij drzwi i siadaj.

Usłuchał. Sfatygowany fotel lekko zaskrzypiał pod ciężarem.

– Co zrobimy z tą sprawą, szefie? Ciągle mogę napisać o tym, co mnie tam spotkało. Mam swoje kontakty i...

– Zwalniam cię ze skutkiem natychmiastowym.

Z trudem zmusił się do zamknięcia ust, które mimowolnie otworzył.

– Jak to?!

– Nie ma wyjścia. Pozbieraj rzeczy, dostaniesz odprawę i takie tam. To nic osobistego, Darek, ale zamiast na gniazdo pszczołek, trafiłeś na pierdolone szerszenie.

– Nie z takimi se damy radę, szefie!

Mężczyzna gąbkami ocznymi wskazał na jakiś bliżej niezidentyfikowany punkt na szczycie szafki, pełnej jakichś akt i papierów.

– Nie. Nie z takimi – ostro zaakcentował ostatnie słowo, dodając: – Wynoś się.

– Ale...

– Darek, wypierdalaj. – Wstał, z kwaśną miną, pokazując palcem drzwi wyjściowe. – Dobrze nam się pracowało, ale to już przeszłość. Zostaw to wszystko i znajdź sobie jakiś plan na życie, bo obawiam się, że nawet moja najlepsza i najszczerza rekomendacja już ci w branży niewiele da. Wyciągnął rękę w stronę ciągle niedowierzającego mężczyzny. Po chwili odwzajemnił gest i po raz ostatni uściśnił dłoń przełożonego.

W godzinę później żegnał się z kolegami, którzy pomagali mu znosić cały dobytek w naprędce zorganizowanych kartonach – zupełnie jak w amerykańskich średniej klasy filmach, – do samochodu. Udawane uśmiechy, poklepywanie po ramionach i kilka poważnych ofert wstawiennictwa w jego sprawie nie były jednak w stanie rozładować toksycznej atmosfery, która czule objęła redakcję, deklarując szybkie odejście – wraz ze zwolnionym z roboty dziennikarzem. Oddał kilka uśmiechów, w milczeniu pożegnał się z większością kolegów i koleżanek, po czym wspólnie z kilkorgiem z nich ruszył w ostatnią trasę, wprost ku samochodowi. Po ostatnim trans-

porcie, na jaki składał się nieduży, pluszowy miś, jakiego dostał w podziękowaniu od dzieciaków jednego z przedszkoli za ujawnienie bicia podopiecznych przez wychowawczynię, opadł na siedzenie kierowcy i odetchnął głęboko. Kątem oka dostrzegł, że kilkoro towarzyszących mu osób uznało, że symboliczne wyprowadzenie zwolnionego dobiegło właśnie końca. Wolnym krokiem, starając się unikać zerkania w jego stronę ruszyli ku siedzibie redakcji, jak ku ziemi obiecanej, do której on nie będzie miał już nigdy wstępu.

Klient poczty w smartfonie alarmował o niemożności połączenia z redakcyjną skrzynką. Zrozumiał, że jego konto oraz historia korespondencji została zablokowana, być może nawet skasowana. Wątpił, aby jacyś skurwiele z ministerstwa chcieli dokopać mu jeszcze bardziej. Zarówno on, jak i jego koledzy wiedzieli, że zabierając mu tę robotę i dając na odchodne wilczy bilet i gówno wartą garść uśmiechów zabrali mu niemal wszystko to, co kochał.

– Skurwysyny – syknął po cichu, zamykając drzwi pojazdu. Przekręcił kluczyk w stacyjce, uchylił szybę i powoli ruszył w stronę szlabanu. Stylowe, odpicowane czerwone Audi 80 po raz ostatni opuszczało prywatny, redakcyjny parking. Na odchodne uśmiechnął się do ciecia i jak gdyby nigdy nic się pożegnał.

Młody facet z dziewiczym wąsikiem, miłośnik komiksów, które mógł w tej budce czytać cały czas, ledwie kącikami ust odwzajemnił gest. Cholera tam wie, co robił w tej klitce, gdy żaden samochód akurat nie zebrał o podniesienie szlabanu. W slangu jego byłych kolegów, ze względu na ciekawe epizody, jakie organizował tam przez dobre dwa lata były stróż,

klitka nosiła miano „zielonej ruchawki”. Nie, budka nie była koloru zielonego. Była szara, jak szare i monotonne było życie wszystkich tych, którzy w niej zasiadali. Tylko Śruba, masywny, oblepiony tatuażami, o wielkim ego, koziej bródce i dochodzie 1300 złotych na rękę, mężczyzna, uczynił z fuchy ciecica coś, o czym inni mogli jedynie marzyć.

Wielkolud zagrał na nosie całemu wydawnictwu i nieformalnie ośmieszył wszystkich śledczych z Sikorskim włącznie. Najpierw, pod pozorem przerwy na papieroska uczynił niewielką kanciapę sympatycznym miejscem, gdzie w ciągu jednej zmiany był w stanie uwolnić od migreny nawet dwie, najbardziej zręczliwe (a jednocześnie najbardziej ponętne) sekretarki. Nikogo nie dziwiło, że często wracają jakieś takie dziwnie spocone, z odrobiną poszarpaną odzieżą czy nieposkromioną fryzurą. O ile budka była całkiem wysoka, to jednak miejsca wszzer było stosunkowo niedużo, toteż Śruba musiał męczyć się z nimi na jeźdźca, gdzie chociaż przez chwilę dwa rudzielce od papierkowej roboty mogły poczuć się tak, jakby miały tego krzepkiego skurwiela w garści. Nikt nie pytał, mało kto plotkował, bo roboty było wiele, to też korzystny dla obydwu stron proceder kwitł w najlepsze.

Życie Śruby było jednak zbyt monotematycznym: ruchał w pracy, ruchał poza pracą, nawet na urlopie spędzonym na koszt rodziców, ruchał. Z czasem, na co dzień sympatyczny paker po trzydziestce, po zawodówce o specjalizacji ogrodniczej doszedł do wniosku, że potrzebuje czegoś więcej, urozmaicenia i adrenaliny, której monotematyczne pieprzenie wszystkiego wokół przestało dostarczać. Śruba zapragnął więcej zarabiać. Korzystając z kontaktów, angażując w plan

spory metraż strychu w domu, który odziedziczył po dziadkach, zajął się tym, do czego miał predyspozycje zawodowe: podlewał, nawadniał, dbał o minerały, wilgotność i temperaturę, a w odpowiednim momencie ścinał, pakował w strunowce i w niedużej aktówce nosił do pracy, gdzie szybko zaczęli schodzić się dziwni, młodzi ludzie.

Przez dwa lata śledczy, którzy mijali się z grubasem nawet i paręnaście razy dziennie ani razu nie zastanowili się, dlaczego spaślak zamienił wilgotne cipki sekretarek na jakichś anonimowych facetów i laski, które stały pod tym pieprzonym szlabanem od godzin porannych aż do późnego popołudnia, gdy cieć kończył pracę.

Śruba powoli spełniał marzenia. Nowe tatuaże, kupił mobilną konsolę do gier i pełen pakiet sportowy telewizji kablowej. Obkupił się firmową odzieżą, na tęgiej klacie pojawiały się co rusz nowe łachy o wartości paruset złotych. Wpadł, bo popełnił grzech zaniechania. O ile wcześniej kochał tylko i wyłącznie kutasem, tak przez jakiś czas, sporadycznie częstując skrętem, ciągle posuwał sekretarki. Gdy jednak popadł w zakupoholizm i manię ogrodnictwa na skalę zbliżoną do przemysłowej, rudowłosa piękność, Dominika, która znana była w redakcji z pociągu do tego, co każdy z jej kolegów nosił w gaciach, nie wytrzymała i postawiła mu ultimatum: solidne pieprzenie jak dawniej, albo pożałuje. Większość facetów bez chwili zawahania wybrałaby wariant, nazwijmy to, ugodowy. Zaślepiony żądzą nabijania sakiewki wysokimi nominałami Śruba, po szybkiej kalkulacji, ile w tym czasie zdoła stracić klientów, rzucił w jej kierunku jednoznaczne: wypierdalał.

Nie minęły trzy godziny, gdy zapłakana kobieta zawezwa-

ła policję, która znalazła przy cieciu ponad 30 gram wysokiej jakościowo marihuany i kilka porcji LSD. Kolejnego dnia nie przyszedł do pracy. Ani następnego. Po tygodniu ciągle otwartych szlabanów na wakaty po Śrubie przyszedł właśnie on: zapryszczony fan komiksów. Prezes postawił na wariant bezpieczny: jedną decyzją uciął zarówno pieprzenie się pracownic w godzinach pracy, jak i dilerkę o której, mimo że krążyły u konkurencji legendy, to jednak żaden szanujący się redaktor z firmy nie zająknął się ani słowem.

Teraz, ten niepewny emocjonalnie młodzian właśnie zamykał szlaban, aby wrócić do pochłaniającej lektury W oddali majaczyły stare, czarne tablice wiekowej audicy.

Stała przed wielkim lustrem. Dobrze oświetlona łazienka, utrzymana w ciepłych, zachodzących w pomarańcz kafelkach i kremowym suficie od godziny była jej królestwem. Na niedużym metrażu kobieta zdołała całkiem sprawnie ulokować sporą wannę z funkcją hydromasażu, niedużą – bo trawiącą odzież ledwie jednej osoby pralkę z podajnikiem umieszczonym na górze, oraz trzy długie, ciągnące się po całej długości ściany półki z kosmetykami znanych i renomowanych firm.

Co jakiś czas z wyraźną irytacją przecierała ręką zaporowane lustro, zza którego tylko bardzo wprawne oko obserwatora zdołałoby dostrzec nieduży, ale działający na każdy rodzaj facetów figlarny biust, szczupłą szyję z charakterystycznym, czarnym pieprzykiem ulokowanym zaraz pod linią żuchwy, nieduże, wąskie usta, które w tej chwili uśmiechały się lekko

do odbicia oraz czarne, powabne oczy, skupiające się właśnie na jak najlepszym ułożeniu ciągle nieposkromionej, niby rudawej, ale mieniącej się w odcieniach złota fryzury.

Gdyby jednak obserwator stał za nią, bowiem musimy tu dopowiedzieć, że jako samotna lokatorka kobieta nie musiała zamartwiać się takimi detalami, jak otwarte na oścież drzwi, zobaczyłby długie, smukłe nogi zdradzające, że kobieta spędza sporo czasu na powietrzu, najpewniej uprawiając jogging; ładnie zarysowaną pupę, sylwetkę w kształcie klepsydry oraz wątle, chudziutkie rączki, które w tej chwili układały krótką fryzurę, w całości odsłaniającą jakby odrobinę przygarbioną szyję.

Słowem: było na co popatrzeć, jednak mieszkanie tajemniczej kobiety, zasługiwało co najmniej na takie samo zainteresowanie, jak figura.

Za łazienką rozciągał się nieduży, ładnie urządzonej przedpokój, którego dominującym elementem była wielka szafa z dębowego drewna, utrzymana w tonacji ciemnego brązu. Nieopodal znajdował się pokój gościnny, pełniący w mieszkaniu funkcję nieproporcjonalnie dużej, jednoosobowej sypialni. Ogromne, rozłożone łóżko pełne było nieposkładanych łaszków, porozrzucanych wzdłuż i wszerz. Nawet nieopodal stolika, na jakim postawiony był płaski telewizor i odtwarzacz DVD walały się jeansowe spodenki. Jeśli spojrzeć w prawo można dostrzec wielkie okno z panoramą na otulone zmierzchem blokowisko. Nudne, szare wieżowce, pełne anonimowych, tłących się światełek zmieniających natężenie, jakby błyskających. To tylko zmęczeni pracą i życiem ludzie, usiłujący zapomnieć o problemach dnia minionego ogląda-

ją zapewne jakieś odgrzewane programy, jakie raz za razem serwuje telewizja. Obok okna, drzwi balkonowe, a obok nich, na niedużej, wolnej przestrzeni, tuż przy betonowej ścianie, szafka nocna z kilkoma książkami i czytnikiem e-booków. Na lewo kuchnia. Zwykła, niewyróżniająca się ze zlewem, piekarnikiem, zapchanym koszem na śmieci, tosterem i kuchenką mikrofalową. Cofając się do przedpokoju i stawiając kilka kroków natrafimy na prawdziwy rarytas, coś, dla czego warto było męczyć się przez ten opis mieszkania: gabinet, pełen nowoczesnych technologii, jaki na twarzy niejednego informatyka wywołałby niekontrolowany ślinotok. Pokój zaciemniony, odgradzony od świata zewnętrznymi roletami, z facho-wo rozmieszczonym oświetleniem, równolegle padającym na trzy wielkie, ułożone obok siebie monitory. Obudowa komputera z ledwie co słyszalnym chłodzeniem zdradzała, że wnętrzości peceta skrywają wydajne, cholernie drogie podzespoły, gdzie za samą tylko kartę graficzną można by z łatwością nabyć ze dwa gotowe komputery z hipermarketu. Nad monitorami szafka pełna płyt, na biurku awangardowa, rozwijana klawiatura, koło której drzemał mieniący się w odcieniach fioleto gryzoń komputerowy, wbrew obecnej modzie uwiązany do konstrukcji na sznurku, kończącym bieg w porcie USB. Przed biurkiem fotel, a obok okna kolejne biurko z lampką wykorzystywaną do rysunków technicznych. A na biurku profesjonalny szkicownik. Zerknijmy.

Ołówkiem naniesione linie, łączące się w kwadraty, czasem jakieś odrobinę zaokrąglone kształty. Dużo tabelki, rysunki prezentujące animacje otwieranego menu, fachowo napisane, zgodne z formatem HTML oznaczenia kolorów. Wi-

dać było, że dziewczyna woli działać metodycznie niż bawić się w całodniowe siedzenie na krześle i kolorowanki, które zapewne i tak zostałyby odrzucone przez kolejnego klienta. Cóż, los grafika komputerowego projektującego layouty wcale nie należał do łatwych, mimo że praca była dobrze płatna. Dzięki możliwościom narracji, przywróćmy teraz pomieszczeniu czas. Dziewczyna wyszła z łazienki, kątem oka zerkając na ekran telefonu. Uśmiechnęła się lekko, ruszając ku szafie z ubraniami. Po chwili na co dzień niepozorna, zamknięta w sobie lokatorka, do której nieraz szczyrzyli się mężczyźni, bez względu na to, czy zaobrączkowani, czy jeszcze poszukujący drugiej połówki, zaczynała kompletować swoją kreację na dzisiejszy wieczór. Wzięła w dłoń wieszak ze stylową małą czarną, którą założyła. W chwilę później, dołączyła elegancki wisiorek oraz kolczyki.

Trzeba tu oddać, że efekt końcowy był powalający i spora ilość czasu spędzona w łazience opłaciła się. Zniecierpliwiona, nie chcąc pognieść sukienki, usiadła na łóżku, przeglądając historię wiadomości od kogoś podpisanego jako „Mój Tomek”. Przesuwając palcem po dotykowym ekranie, uśmiechała się lekko.

W dziesięć minut później usłyszała pukanie do drzwi. Czarne oczy otworzyły się szeroko. Westchnęła usiłując ukryć napierającą górę emocji, kilkoma susami pokonała odległość dzielącą ją od drzwi. Szczęk zamka. Po chwili z trudem ukrywając emocje, wpuściła do mieszkanca przeciętnego wzrostu, barczystego faceta o bujnej, pełnej czarnych loków czuprynie, gęstych brwiach i ciekawie wystylizowanej bródce, która łączyła dwa nieco przydługawe względem całości bokobrody.